

Roman Rawicz uznał, że „wymierzona kara jest współmierna winie”, a wszystkie okoliczności łagodzące zostały już wzięte pod uwagę w procesie. Podobny los spotkał też później prośbę mojej matki o ułaskawienie, w której powoływała się na swoje trudne położenie życiowe i moją okupacyjną działalność. W zaistniałej sytuacji, w perspektywie wieloletniego więzienia, zwoleńłem moją narzeczoną z obietnicy ślubu. Choć było to dla mnie ciężkim przeżyciem, nie mogłem przecież wiązać jej na tyle lat i uniemożliwiać ułożenia sobie życia.

Gdy po wyroku przywieziono mnie, wraz z innymi skazańcami, do więzienia, funkcjonariusze MBP ustawili nas w szeregu i kazali każdemu mówić, jaki dostał wyrok. Skrzywili się bardzo na moje 10 lat, a słowami pochwały obdarowali więźnia, który dostał karę śmierci:

– No, to jest wyrok, dobrze żeś się spisał.

Na „ogólniaku”

Po ogłoszeniu wyroków, gdy nie zachodziła już konieczność ścisłej izolacji skazanych, gromadzono ich w obszernych celach zbiorowych i co pewien czas wysyłano do więzień, gdzie mieli odbywać swoje wieloletnie kary. Ten sam los spotkał także i mnie. W marcu zjawił się w naszej celi oddziałowy, wyczytał moje nazwisko i kazał mi pakować swoje rzeczy, a następnie wyjść z celi i stanąć twarzą do ściany, obok drzwi. Po chwili z sąsiedniej celi wyszedł także z tobołkiem inny towarzysz niedoli i stanął obok swej celi także twarzą do ściany. Był nim, jak się okazało, inż. Franciszek Krajewski. Dalszy wspólny los sprawił, że zostaliśmy przyjaciółmi na całe życie. Zaprowadzono nas obu do celi, w której gromadzono więźniów, oczekujących na wywiezienie do szczególnie ciężkich zakładów karnych we Wronkach i Rawiczu (obie miejscowości leżą w dawnym woj. poznańskim, dziś wielkopolskim). Kobiety po wyroku kierowano do Fordonu k. Bydgoszczy, gdzie panował równie srogi reżim.

W nowej zbiorczej celi znaleźliśmy się w chwili, gdy skazani szykowali się do snu. Wywarła na nas przygnębiające wrażenie. Przed wojną w celi tej przebywało około 40 więźniów, ale władza ludowa umieściła ich tu w liczbie ponad 150! Na tragikomedię zakrawa to, że wśród nich znalazł się także przedwojenny naczelnik więzienia skazany za to, że dopuszczał do przeludnienia w celach, co stanowiło udrękę dla uwięzionych! Rozkładano właśnie na ziemi tak zwane sienniki (było ich około 30). Wypełnione niegdyś słomą, teraz już startą na proch, nie nadawały się praktycznie do użytku. Przy ich układaniu rozszedł się po celi tak gęsty tuman kurzu, że obaj stanęliśmy jak wryci przy drzwiach, niczego przed sobą nie widząc. Panował nieznośny smród i zaduch, gdyż okien nie otwierano, a w dodatku wszyscy korzystali z jednego klozetu i kał wylewał się na betonową podłogę. Koło ścian stały ławy, a na środku dwa stoły. Panował tak wielki tłok, że obaj nie mogliśmy znaleźć miejsca, żeby się rozłożyć do spania. W końcu głowę oparłem na swoim tobołku, nogi zaś na jakimś kawałku sąsiedniego siennika, a tułów ulokowałem na betonowej podłodze. Podobnie ułożył się do snu mój współtowarzysz Franciszek Krajewski.

W sali przebywał też jakiś prątkujący gruzlik, który rozsiewał miliony zarazków wśród gęsto stłoczonych więźniów. Awanturę w tej sprawie wszczął inny więzień, lekarz Bruno Fijałkowski, i przy ogólnym poparciu współtowarzyszy doprowadził do zabrania chorego, ale dokąd? Nie wiadomo, może do innej celi zbiorczej... Oczywiście nie było mowy o wyprowadzaniu kogokolwiek na spacer. Tylko dla niektórych starczało w ciągu dnia miejsca na ławach, reszta musiała krążyć w tłoku po sali.

Mimo tak ciężkich warunków pobyt w tej celi, zwanej „ogólniakiem”, uznaliśmy za radośniejszy promyk w naszym ponurym życiu. Zebrano tutaj wielu wybitnych i ciekawych ludzi. Już następnego dnia rano czekała mnie niespodzianka. Usłyszałem znajomy głos, który zawołał do mnie:

– Witam pana, panie Janie!

Był to ks. Jan Stępień (późniejszy rektor ATK w Warszawie), znany mi już z czasów studiów na Uniwersytecie Warszawskim jako ulubiony student mojego wuja i opiekuna ks. prof. Jana Stawar-

czyka. Już wtedy wyróżniał się dużą wiedzą, niezwykłą pamięcią i zdolnościami. Miałem w nim tutaj od początku drugą bratnią duszę. Opowiedział mi o swoich wojennych losach, a ja słuchałem go z wielką uwagą i zaciekawieniem, gdyż nie miałem od niego wiadomości przez kilkanaście lat.

W czasie okupacji niemieckiej zaangażował się w podziemny ruch na szeroką skalę. Brał udział w tajnym nauczaniu, duszpasterstwie wojskowym jako kapelan Narodowej Organizacji Wojskowej i w działalności Stronnictwa Narodowego, jako członek Głównego Zarządu i działacz CWP (Centralnego Wydziału Propagandy). W krytycznej chwili, w jakiej znalazł się ten wydział (po aresztowaniu dotychczasowego jego szefa, Andrzeja Mikułowskiego w maju 1943), ks. Jan Stępień („dr Jan”) bez wahania stanął na jego czele, narażając się na wielkie ryzyko, gdyż właśnie w akcji propagandowej (zwłaszcza prasowej) dochodziło do najczęstszych „wpadek”. „Strata ta nie zdołała jednak – jak wspomina ppłk Józef Rokicki – powstrzymać rozwoju CWP”⁸⁶. Właśnie w czasie, kiedy kierownictwo CWP objął ks. Jan Stępień, nastąpiła w szybkim tempie rozbudowa działu prasowego. Pojawiło się kilka nowych pism periodycznych oraz książek, które trafiały do mnie (via Kraków), ale do głowy mi wówczas nie przyszło, że ukazywały się dzięki odwadze i energii ks. Jana. Po wybuchu powstania warszawskiego „dr Jan” został odcięty od obu grup, na które rozdzielili członków CWP bieg wydarzeń i przebywając na Mokotowie, sprawował w tej dzielnicy szefostwo BIP-u (Biura Informacji i Propagandy AK).

Aresztowany został w Jezioranach k. Olsztyna 5 lipca 1947 roku. Usiłowano nakłonić go do współpracy, ale stanowczo odmówił. Mimo że brał udział w Powstaniu Warszawskim, został skazany na karę śmierci za nielegalną działalność w Stronnictwie Narodowym, ale Bierut zamienił ją na dożywocie. Wieść niesła, że wstawili się za nim Żydzi, do uratowania których miał się przyczynić w czasie okupacji. W celi śmierci, oczekując na wykonanie wyroku, spędził

⁸⁶Ppłk Józef Rokicki (NOW), *Blaski i cienie bohaterskiego pięciolecia*, Niemcy Zachodnie, 1949, s. 58-60.

blisko 4 miesiące, od listopada 1947 do marca 1948 roku, mimo że ułaskawiony został już w styczniu!

W okresie stalinowskim władze szczególnie skwapliwie szafowały wyrokami śmierci w stosunku do przeciwników wprowadzanego terrorem ustroju komunistycznego. Skazanych na taką karę umieszczano w osobnych celach, zwanych celami śmierci, gdzie ofiary z największym napięciem oczekiwały przez długie miesiące na ewentualne ułaskawienie. Tych, co tej „łaski” dostąpili, przenoszono do zwykłych cel, jako więźniów przeważnie z wyrokami dożywocia, wolnych od tej tortury, jaką było zmaganie się woli życia z lękiem przed śmiercią. Reszta, skazana na niechybną śmierć, oczekiwała często bardzo długo na wykonanie wyroku, różnie znosząc ten okrutny stan beznadziei. Skutki tych stresów, przeżywanych przez umęczonych torturami więźniów w czasie nieludzkiego śledztwa, udręczonych wieloletnim przebywaniem w zakładach karnych, w których panowały wyniszczające warunki, a szczególnie u więźniów skazanych na śmierć, stały się przedmiotem badań medycznych⁸⁷.

Ks. Jan był zawsze pogodny i miał, by tak rzec, pełne ręce roboty. Dzięki swej ogromnej wiedzy skupiał wokół siebie wielu słuchaczy. Przygnębionych podnosił na duchu, chętnych spowiadał, odprawiał potajemnie msze święte, a wśród wtajemniczonych rozdelał komunię świętą. Czasami otrzymywaliśmy pokruszone opłatki, a jeśli ich nie było, to wykorzystywany był w zastępstwie zwykły chleb. Wino mszalne wytwarzaliśmy, również potajemnie, z winogron, jakie od czasu do czasu docierały do któregoś z współwięźniów w paczce. Ksiądz Stępień miał zadziwiającą pamięć: wszystkie modlitwy mszalne potrafił odmawiać bez mszalika. Był jedną z pierwszoplanowych postaci w celi. Prowadził dyskusje

⁸⁷Badania te noszą fachową nazwę syndromu głębokiego stresu posttraumatycznego, co oznacza chorobowy zespół psychicznych powikłań pourazowych, nabyty w stalinowskich więzieniach w Polsce i w Związku Sowieckim, a także w niemieckich obozach koncentracyjnych. Dotyczą one nie tylko losów samych ofiar, lecz także przeżyć rodzin więźniów i bliskich im osób. W kartotekach Collegium Medicum UJ w Krakowie istnieją materiały dotyczące kilkuset osób z takim rozpoznaniem i liczba ich ciągle się powiększa.

na różne tematy, do których i mnie wciągał. Czasami gromadzili się przy stole wokół niego inni księża przebywający w celi i dlatego miejsce to nazwaliśmy „plebanią”. Poza tym ksiądz Stępień grywał w szachy figurami ulepionymi z zakalcowatego chleba. Od chwili naszego spotkania kolega Franek Krajewski i właśnie ksiądz Jan stali się moimi najbliższymi towarzyszami i rozmówcami.

Jak już wspomniałem, w ogólniaku przebywało jeszcze trzech innych księży: Grzechnik, Czajkowski i Pawlina. Ten ostatni był bardzo przygnębiony i kilkakrotnie zwracał się do mnie:

– Panie, niech mnie pan pocieszy.

Został skazany na 10 lat więzienia, ale nie to było jego zmartwieniem. Przed aresztowaniem utrzymywał kontakty z szefem stołecznego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (WUBP), który nie mógł znieść widoku zbrodni, jakich tam się dopuszczano, i informował o tym księdza Pawlinę. Ten z kolei przekazywał te wiadomości redaktorowi mikołajczykowskiej *Gazety Ludowej* Zygmuntowi Augustyńskiemu, skąd przesyłano je za granicę. Po wydaniu się tej sprawy księdza Pawlinę gnębiły wyrzuty sumienia, że otrzymanych na piśmie informacji natychmiast nie spalił, skutkiem czego dostały się one w ręce ubeków. Redaktora skazano na 15 lat więzienia, a co gorsza, owego szefa WUBP rozstrzelano.

Usiłowałem go w różny sposób pocieszać i tłumaczyć, że taki jest los konspiracji. Zdarzają się wpadki i przecież my wszyscy trafiliśmy do więzienia właśnie w ten sposób. A temu, że szlachetni ludzie cierpią lub tracą życie, winny jest zbrodniczy system. Jednakże ksiądz Pawlina nie mógł sobie z tymi wyrzutami sumienia poradzić nawet jeszcze po wyjściu z więzienia i zginął tragiczną śmiercią pod kołami pociągu, gdy pewnego razu przechodził zamysłony przez tory kolejowe.

W naszej zbiorczej celi wyróżniali się liczebnością działacze ruchu narodowego. Znalazł się tu prawie cały Zarząd Główny Stronnictwa Narodowego; brakło tylko prezesa Leona Dziubeckiego, tak skatowanego w śledztwie, że dogorywał w szpitalu, oraz płka Włodzimierza Marszewskiego, którego stracono. Oto pozostali członkowie Zarządu: Ludwik Chaberski, Bronisław Ekert, Lech Hajdukiewicz, Marian Podymniak, Tadeusz Maciński („Prus”) i ks. Jan

Stępień. Kolega Hajdukiewicz podciął sobie żyły, ale uratował go Bruno Fijałkowski. Po kolejnej próbie samobójczej władze uznały go za nienormalnego i wysłały do Zakładu dla Obląkanych we Wrocławiu, gdzie zmarł. Poza tym znaleźli się tam działacze SN niższego szczebla, mecenas Bilan i dyrektor szkoły podstawowej Gładysz – obaj nie doczekali wolności, gdyż zmarli później w więzieniu. Znaleźli się w tej celi także i inni działacze narodowi: Jan Kornecki, Jan Golka, poeta i aktor z Kielc, Eugeniusz Mieszkowski, którego wybraliśmy na celowego i z roli tej świetnie się wywiązywał. Na ogół władze same wyznaczały więźnia do tej funkcji, wybierając najczęściej złodzieja lub innego więźnia kryminalnego. Tym razem udało nam się jednak przeforsować kolegę, który umiał rozwiązywać różne konfliktowe sytuacje w celi.

Przedstawicielem NZW w naszej celi był tylko jego szef, płk Tadeusz Zieliński Natomiast trzech członków NZW – Lechosława Roszkowskiego, Tadeusza Zawadzińskiego i Jana Morawca umieszczono w celi śmierci. Rodzinę Roszkowskiego poznałem, kiedy objąłem stanowisko nauczyciela łaciny w dwóch szkołach średnich w Łodzi. Należałem do Sodalicii Inteligencji Męskiej w tym mieście, której przewodniczył prezes SN, mecenas Kowalski (poszukiwany przez Niemców po ich wkroczeniu do Łodzi w 1939 r. i rozstrzelany wraz z bratem w 1940 r.), a Roszkowski senior był jej aktywnym członkiem. Z Lechosławem spotykałem się na konspiracyjnych zebraniach SN w pierwszych latach po wojnie. Brał on udział w Powstaniu Warszawskim, w którym zginęła jego żona, osierocając małego synka. Skazany został na karę śmierci, podobnie jak i jego dwaj wspomniani koledzy (wyrok zapadł 3 listopada 1947 r.). Nie zostali ulaskawieni, lecz na wykonanie wyroku musieli czekać aż do 16 stycznia 1948 r.

Trzeba tu podkreślić, że zachowali męzną postawę do ostatniej chwili. Od kolegi Makarego Sieradzkiego, który otrzymał karę śmierci w związku ze sprawą Witolda Pileckiego i razem z Roszkowskim czekał na ulaskawienie (on sam jednak później śmierci uniknął), dowiedziałem się, że Lechosław wykladał w celi ekonomię nawet wtedy, gdy brat zawiadomił go, że odrzucono prośbę rodziny o jego ulaskawienie. Zależało mu, aby dokończyć rozpoczęty

temat. Swego synka polecił opiece brata i przez kolegę Makarego przekazał mu książeczkę do nabożeństwa. Prosił, aby mszę świętą w jego intencji ksiądz odprawił w białym kolorze, ponieważ ponosi śmierć za Kościół i Ojczyznę. W okresie oczekiwania na wykonanie wyroku dręczono go dodatkowo, wyprowadzając co jakiś czas z celi niby to na śmierć, po czym oświadczano mu, że to jeszcze nie dziś. Znosił to z niebывałym spokojem. Pochowano wszystkich trzech w nieznanym miejscu. Rodzina Jana Morawca nie знаła daty wykonania orzeczonego wyroku śmierci, ale właśnie w tym czasie, to jest w nocy z 15 na 16 stycznia, z brzękiem miały spaść jego harcerskie odznaczenia, zawieszane na ścianie w wiejskim domu, w którym mieszkał.

Spośród członków Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Polski Podziemnej (KPOPP), powołanego przez przedstawicieli czterech głównych stronnictw politycznych, obecni byli w ogólniaku: płk Waclaw Lipiński, ułaskawiony po wyroku śmierci, lecz później zamordowany już w więzieniu we Wronkach z rozkazu płka Różańskiego oraz przedstawiciel Polskiej Partii Socjalistycznej – Wolność, Równość, Niepodległość (PPS-WRN) Adam Obarski. Natomiast członek Zarządu Głównego SN i prezes Komitetu Marszewski został, jak wspominałem, rozstrzelany, a przedstawiciel Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość (WiN) Wincenty Kwieciński przebywał w tym czasie w innej celi. Narodowe Siły Zbrojne (NSZ) reprezentowało 5 osób (tyle zapamiętałem): Michał Ostromięcki, mecenas Mieczysław Paszkiewicz, Michał Pobocho, Stanisław Salski i Tomasz Wolfram. Wszyscy mieli wysokie wyroki, niektórzy zostali ułaskawieni po uprzednim skazaniu na karę śmierci. Wojsko, oprócz członków wspomnianego NZW, reprezentowali: gen. Jan Zientarski, płk Waclaw Lipiński, płk Starzyński (szef przedwojennej ochrony Prezydenta RP).

Spotkałem tu także uczestników głośnego procesu Witolda Pileckiego, twórcy ruchu podziemnego w obozie oświęcimskim, do którego poszedł dobrowolnie. Potem wslawił się jeszcze udziałem w Powstaniu Warszawskim. Uważany jest za jednego z największych bohaterów II wojny światowej. W tym czasie przebywał w celi śmierci, a następnie został stracony. Oto nazwiska związanych z je-

go działalnością więźniów: Ryszard Krzywicki („Jamontt”), adiutant kolejnych komendantów ZWZ-AK, Tadeusz Płużański (były więzień obozu w Stutthof, skazany w słynnym procesie rotmistrza Pileckiego, którego był kurierem, na śmierć i ułaskawiony), Witold Różycki (b. więzień obozu w Oświęcimiu), Makary Sieradzki (skazany na śmierć i ułaskawiony), którego aresztowano razem z żoną.

Rolę naszego lekarza pełnił Bruno Fijałkowski, który badał stan zdrowia współtowarzyszy na podstawie tęczy oka. Zadziwiał wszystkich trafnością swoich diagnoz, odnoszących się także do chorób przeżytych w przeszłości. Mnie wyczytał z oka, że chorowałem na wątrobę, i nawet podał dokładnie czas, kiedy miało to miejsce. Przedstawicielem świata lekarskiego w celi oprócz Fijałkowskiego był także Starostka (tajny uczestnik, z ramienia AK, w Delegacji PCK do Katynia w 1943 r.). Opowiedział mi kiedyś, jak go podstępnie aresztowano. Otóż przygotowywał się w szpitalu do operacji, gdy nagle otrzymał telefoniczne wezwanie do człowieka, któremu miał udzielić natychmiastowej pomocy. We wskazanym miejscu czekali już na niego ubecy.

Młody i pełen zainteresowań Władysław Bartoszewski zbierał gorliwie różne wiadomości, kierując się swą pasją dziennikarską. Mój krajan z Sanoka, Mieczysław Przystasz, który interesował się historią Polski, chętnie dzielił się swoją wiedzą ze słuchaczami. Mnie przysłużył się po wyjściu z więzienia. Gdy bezskutecznie starałem się o pracę, gdyż wszystkie moje podania, jako byłego więźnia politycznego, systematycznie odrzucano, on właśnie poradził mi, bym zwrócił się do zacnego dyrektora ORWN PAN, Kazimierza Dąbrowskiego, który odniósł się do mnie bardzo przyjaźnie i zatrudnił u siebie. Mietek aresztowany został przez UB pod pretekstem przynależności do organizacji „Miecz i Pług”. Według władz AK, władze tej organizacji infiltrowane były przez gestapo. Jednak na szczeblu powiatu była ona czysto polska i potem została nawet włączona do AK. Drugi krajan, Jan Łożański z Zarszyna, skupiał wokół siebie towarzyszy niedoli, opowiadając o swoich przygodach kuriera na trasie Warszawa-Budapeszt. W celi przebywał też inżynier Kazimierz Leski.

Wspomniany wcześniej poeta i aktor z Kielc, Jan Golka, ułożył na spędzone w więzieniu święta Bożego Narodzenia pieśń na melodię góralskiej kolędy. Oto jedna z jej strof:

*Hej kolęda, kolęda Mokotów kolęda
Między nas Pan Jezus wszedł,
Na koszuli numer szyl,
Hej kolęda, kolęda Mokotów kolęda,
Między nas Pan Jezus wszedł
I w karcerze z nami był.*

Więźniem, z którym często dyskutowałem w tzw. „kieracie”, był Kazimierz Gorzkowski. Imponował zarówno swą bogatą wiedzą, jak i zdumiewał wielką wrażliwością na ludzkie losy, starając się nawet z więzienia za pośrednictwem swojej rodziny wesprzeć tego, kto nie mógł liczyć na żadną pomoc z zewnątrz.

Trudno też nie wspomnieć kolegi Piotra Kononowicza, tłumacza snów, przed którym rano ustawiała się kolejka. Nazywano go „Pytią”. Był kawalerzystą i brał udział w kampanii wrześniowej. Mój kompan Franciszek Krajewski pokpiwał sobie z niego nawet, że szablą atakował niemieckie czołgi. Na to Kononowicz robił mu żartobliwe przytyki, że zapewne jako inżynier kominy budował od góry. Tak interpretował on sny, by jednych podnieść na duchu, a pokroczyć zbyt pewnych siebie i niezbyt miłych otoczeniu. Czasami też dworował sobie z „klientów”. Na przykład, gdy przychodził do niego „zły” celowy opowiadając mu o śnie, w którym Mikołajczyk obejmuje żyrafę, to tłumaczenie „Pytii” było następujące:

*We śnie Mikołajczyk z żyrafą – dziwy,
czeka cię wypadek bardzo nieszczęśliwy,
szykuje się sprawa, szpital albo sąd,
jeszcze pan celowy nie wnet wyjdzie stąd.*

Gdy zaś podobny sen miał „dobry” celowy, np. Eugeniusz Mieszkowski, to wyjaśnienie było inne:

*We śnie Mikołajczyk z żyrafą – dziwy,
czeka cię wypadek bardzo szczęśliwy,
wolność się szykuje, wolność i to wnet,
będzie pan celowy ulicą se szedł.*

Jak wyglądało życie codzienne w tej zatłoczonej celi? Budzono nas wcześniej (ok. 5 rano), po czym następowało śniadanie. Składała się na nie lura zwana czarną kawą i (często zakalcowaty) chleb, około ćwiartki na cały dzień. Wielką pomoc stanowiły paczki żywnościowe przysyłane przez rodziny. Ponieważ wielu współtowarzyszy takiej pomocy nie otrzymywało, utworzyliśmy grupy zwane ironicznie „kolchozami”. W każdej byli tacy, którzy pomoc z zewnątrz dostawali i tacy, którzy byli jej pozbawieni. Wybierano więc dwóch współtowarzyszy w każdej grupie, którzy dzielili całą otrzymywaną żywność na jednakowe porcje dla każdego. Po śniadaniu więźniowie, wyznaczani kolejno przez celowego, myli naczynia po jedzeniu. Do innych czynności, spełnianych też w określonym porządku przez więźniów, należało sprzątanie celi, czyszczenie klozetu i wykonywanie pewnych prac poza celą. Gdy jakaś czynność sprawiała komuś wielki kłopot (szczególnie czyszczenie klozetu), zawsze zgłaszał się na ochotnika hrabia Potocki, który trafił do więzienia dlatego, że usiłował wywieźć za granicę własne dzieła sztuki. Był też więzień, inżynier Kobylański, dawny pracownik Gerlacha, który otrzymywał pomoc pieniężną i zakupywaną żywność rozdelał anonimowo, aby obdarowani się nie krepowali.

W dzień panował w celi wielki gwar. Jedni krążyli wokół stojącego na środku sali stołu i prowadzili z sobą żywe rozmowy i dyskusje. Nazywaliśmy to „chodzeniem w kieracie”. Prócz tego w różnych kątach celi skupiały się grupki żądnych wiedzy więźniów. Do mnie zgłosili się ci, którzy chcieli uczyć się łaciny, a zwłaszcza angielskiego. W gronie moich uczniów znaleźli się m.in. młodzieniec Janusz Krasiński (obecnie znany pisarz) i Jan Łożański. Ten pierwszy był niegdyś członkiem Szarych Szeregów, a potem więźniem obozów hitlerowskich w Oświęcimiu i Dachau. Po wojnie skazany został za działalność konspiracyjną. Nauczanie w celi było zabronione i karane karcerem, a poza tym brak było środków do pisania. Trudność

tę omijaliśmy w ten sposób, że miednicę smarowaliśmy tłuszczem i posypywaliśmy proszkiem do mycia zębów, po czym można było na niej pisać jak na tablicy. Pewien pilny uczeń nawet jednego razu pochwalił się, że opanował całą „miednicę słówek”! Dobrym miejscem do pisania były też podeszwy butów. Miały one tę zaletę, że w razie niespodziewanego „kipiszu” można było łatwo napisać słowa zetrzeć. Jako „pióra” używaliśmy zapalek lub guzików.

Języka angielskiego uczyli także Marian Podymniak i płk Starzyński, a francuskiego Jan Zarański. Również obaj lekarze mieli sporo słuchaczy, a inżynierowie Franciszek Krajewski i Kazimierz Leski uczyli matematyki. Ten ostatni opowiadał swe bogate przeżycia przedwojenne i powojenne, a także mówił o lotnictwie czy budowie okrętów, co budziło zrozumiałe zainteresowanie. Adam Obarski „wykładał” filozofię i ekonomię, a Mieczysław Przystasz – historię. Tadeusz Maciński utworzył nawet chór, a księża po cichu spowiadali i odprawiali msze święte. Jan Łożański, który zajmował się po amatorsku boksem, oraz pewien zawodowy bokser pochodzący z Francji dali kiedyś pokaz walki, naturalnie niezbyt męczącej i polegającej na zadawaniu sobie ciosów raczej symbolicznych. Kiedyś urządzono też szopkę, w której „anonimowo” (wszyscy jednak wiedzieli, o kogo chodzi) parodiowano współtowarzyszy. Ironizowano na przykład z wszechwiedzy płka Starzyńskiego, który udzielał różnych błędnych informacji na tematy mu nieznane. Potem prostowali je przybywający do celi nowi więźniowie, okazujący się fachowcami w danej dziedzinie.

Wszyscy, którzy zostali skazani i znaleźli się w tej celi, mieli okazję do bezcennej wymiany zdań na tematy ogólne oraz własnych przeżyć. Tak więc, choć warunki przebywania w ogromnie zatłoczonej celi były bardzo ciężkie, łagodziła je możliwość porozmawiania z wyjątkowymi osobami i dowiedzenia się od nich wielu ciekawych rzeczy. Częstym moim rozmówcą był płk Waclaw Lipiński. Omawialiśmy z nim głównie kwestie polityczne. Któregoś dnia przyznał mi się, iż zawsze uważał, że endecy są zwariowani na punkcie Żydów, ale obecnie przekonał się, że mają rację. X pawilon na Mokotowie został w istocie opanowany przez Żydów.

Głośna była sprawa jego fajki, w której usniku ukryte zostało pismo skierowane do ONZ przez KPOPP, a dotyczące łamania praw narodowych i ludzkich przez komunistyczną władzę w Polsce. Fajkę zabrano do depozytu i Lipiński domagał się jej wydania, twierdząc, że otrzymuje tytoń od rodziny, ale nie może go wykorzystać, nie mając fajki. Zależało mu bardzo na zniszczeniu tego pisma. Po jego ciągle powtarzanych prośbach władze więzienne w końcu postanowiły wydać mu fajkę, ale... po dokładnym jej zbadaniu. I tak znaleziono ukryte pismo.

Nie można nie wspomnieć pięciu czy sześciu chłopów z Kurpiowszczyzny, którzy byli bardzo solidarni nie tylko między sobą, ale dzielili się wszystkim z każdym, kto znikąd nie otrzymywał pomocy. Pomoc współtowarzyszom była zresztą tak powszechna, że w całej mojej dziewięcioletniej „karierze” więziennej spotkałem jedynie 3 osoby, które mógłbym nazwać egoistami. Bywało, że na siedmiu więźniów przebywających w celi tylko jeden otrzymywał skromną paczuszkę, ale dzielił ją na siedem części, traktując to jako rzecz zupełnie oczywistą. W ogólniaku przebywało też jednak dwóch więźniów, którzy jakimś sposobem otrzymywali stosunkowo dużą pomoc od swoich rodzin i dzielili się nią... wyłącznie pomiędzy sobą. Zauważyli to wspomniani chłopcy i jeden z nich zapytał mnie:

– Panie, czy ci dwaj to inteligenci?.

– Jak to – odpowiedziałem – oczywiście, że tak. Jeden jest przecież inżynierem, a drugi generałem.

Byli to bowiem inż. Jaszczuk i generał Zientarski. Na to mój rozmówca odpowiedział:

– Nie, to nie są inteligenci, bo nie potrafią podzielić się z innymi.

Poprosiłem więc generała na rozmowę do „kieratu” i powiedziałem mu, co myślą o nim prości chłopcy. Generał bardzo zawstydził się i radykalnie zmienił swoje postępowanie. Natomiast inżynier Jaszczuk pouczony został poprzez urządzenie mu „procesu”, którego był głównym bohaterem. Utworzono „sąd”, gdzie rolę sędziego i obrońcy pełnili autentyczni prawnicy skazani na wysokie wyroki, a prokuratorem był Władysław Bartoszewski. Fikcyjnie oskarżyliśmy sąsiada owego inżyniera, że dybał na czyjeś życie, podkładając

pod koc rozkładającą się cebulę. Zarządzono więc rewizję, którą przeprowadził Bartoszewski, i wyciągnął, na oczach nas wszystkich, z paczek Jaszczuka całe pęta zzieleniałych kiełbas. Myślę, że otrzymał nauczkę na całe życie.

Później, już w więzieniu we Wronkach, spotkałem inną grupę chłopów pochodzących z poznańskiego, których uznano za kula-ków. Zmuszano ich do nadmiernych dostaw płodów rolnych, z czego nie byli w stanie się wywiązać. Zawieźli więc wszystko pod siedzibę partii i tam zrzucili. Za ten postępek wyładowali w więzieniu jako wrogowie władzy ludowej.

Wszystko to tolerowały jakoś władze więzienne, ale jednej rzeczy szczególnie nie mogły znieść, a mianowicie wspólnej wieczornej modlitwy. Zarządziły nawet, aby ujawnili się przez podniesienie ręki najpierw wierzący, a potem niewierzący. Przez jakieś nieporozumienie, jedynym niewierzącym okazał się Bruno Fijałkowski! Gdy tylko zorientował się, że chodziło o wyrażenie solidarności i że nawet złodzieje podnosili ręce jako wierzący, podbiegł do zakratowanych drzwi celi, wołając do oddziałowego, żeby wykreślił go z listy niewierzących.

Panującą w czasie mojego pobytu w ogólniaku ciasnotę spogęgowołało przyprowadzenie ok. 40 niemieckich jeńców, oskarżonych o zbrodnie wojenne; wśród nich 2 generałów – jeden był z Wehrmachtu, a drugi z SS. Dowodzili oni obroną obleżonego Poznania. Esesman miał pretensje do tego drugiego, że zdradził oblegającym wojskom system zaminowania miasta, co pozwoliło uratować je przed zniszczeniem. Przebywanie z niemieckim zbrodniarzami w jednej celi było dla nas dużym dyskomfortem. Zatrudniliśmy ich przy myciu naczyń i porządkowaniu celi, co wykonywali bez szemrania.

W naszej celi znalazło się także kilku złodziei, którzy chępliwi się swoimi wyczynami. Najbardziej znany nosił nazwisko Kakit. Zachowywał się w miarę przyzwoicie, choć popisywał się swoimi złodziejskimi umiejętnościami. Pewnego razu założył się ze mną, że w ciągu kilku godzin ukradnie mi z kieszeni papierosy, choćbym nie wiadomo jak się pilnował. I rzeczywiście, po czterech czy pięciu godzinach poprosił mnie o poczęstowanie go papierosem. Sięgnąłem

do kieszeni i moja ręka trafiła w pustkę. Okazało się, że moją uwagę rozproszyli jego koledzy, którzy przez cały dzień starali się mnie zagadywać.

Dla Kakita więzienie było prawdziwym domem mieszkalnym, gdyż wciąż do niego wracał po krótkim pobycie na wolności. Nie nawidził on księży. Gdy zapytałem dlaczego, opowiedział mi, jak kiedyś starał się niepostrzeżenie dostać do kościoła. Gdy już mu się to udało, zabrał jeden kielich i zaczął wdrapywać się z nim do okna. Tymczasem zauważył go proboszcz i tak zdzielił trzymaną w rękę laską, że ten spadł i musiał oddać kielich.

– A przecież – powiedział – ja mu drugi kielich zostawiłem.

W więzieniu czuł się dobrze i często do niego wracał.

– Na wolności – mówił – nie jest mi łatwo żyć. Muszę zdobyć środki do życia, a to jest trudne. Na przykład pewnego razu upatrzyłem sobie idącego ulicą dobrze ubranego człowieka. Szedłem za nim i niemało trudu mnie kosztowało, zanim udało mi się włożyć mu rękę do kieszeni. I co pan powie? Dwa złote i pięćdziesiąt groszy! Czy to jest inteligent?

W celi przebywał też jeden skazany na śmierć zbrodniarz, który gwałcił i zabijał kobiety. Miał na sumieniu ok. 30 ofiar. Spał ze mną pod jednym kocem. Gdy go zapytałem, jak będzie postępował, jeśli zostanie ułaskawiony, odpowiedział bez namysłu:

– Tak jak dotąd.

Kiedy zaś zawiadomiono go, że nie został ułaskawiony, wpadł w taką rozpacz, że zachowywał się jak półprzytomny. W nocy jęczał i nie mógł spać, słowem tak się męczył, że nie miałem odwagi powiedzieć mu, iż tyle kobiet uśmiercił i zamierzał nadal to czynić po wyjściu z więzienia, a teraz tak sam się boi śmierci! Pewnego dnia przyszedł oddziałowy i wyczytał trzy nazwiska: moje, tego zbrodniarza i jeszcze innego więźnia, co oznaczało na ogół przeniesienie do innej celi. Tak zapewne myślał ów zbrodniarz, gdyż spokojnie wyszedł razem z nami na korytarz, ale tam od razu zawiązano mu usta i zaciągnięto do piwnicy, gdzie wykonywano wyroki śmierci (poprzednio czyniono to na dziedzińcu więzienia pod murem). Przestępcy kryminalni liczbowo stanowili jednak wśród uwięzionych margines.